№ 50. Warszawa, 11 Grudnia 1908 roku. Rok I.

SPOŁECZEŃSTWO

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

Prenumerata: w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie kop. 65. Numer pojedyńcz. — kop. 15. Z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 9, Kwartalnie rb. 2 kop. 25. Numer pojedyńczy kop. 15. Za zmianę adresu — 22 kop.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek.

Red. i Administr. Żórawia 29 m. 2; Tel. 116 67.

OGŁOSZENIA po k. 15 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście k. 30. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7—prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki o g. 2 — 3 p. p. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU.

OD REDAKCJI.

W r. 1909 „SPOŁECZEŃSTWO" wychodzić będzie w duchu programu i zasad, które mu od początku przewodniczyły i które czytelnikom naszym są dostatecznie znane.

W treści pisma starać się będziemy o uwzględnianie wszystkich ważniejszych objawów naszego życia społecznego.

W dodatkach bezpłatnych otrzymają czytelnicy dwa dzieła, oryginalne i tłomaczone:

J. Wł. DAWIDA: INTELIGENCJA, WOLA i ZDOLNOŚĆ DO PRACY (Metody ich rozpoznawania i kształcenia).

RENANA: APOSTOŁOWIE.

WARUNKI PRENUMERATY:

	w Warszawie:	z przes. poczt.
Rocznie	rb. 7 kop. 60	rb. 9.
Kwartalnie	„ 1 „ 90	„ 2 k. 25.
Miesięcznie	65	„ — „ 75.

TUA RES AGITUR.

Jak donoszą pisma, przedstawiciele *Koła Polskiego* w Dumie, protestują przeciw wiadomości, jakoby *Koło* miało połączyć się z październikowcami i prawicą. *Koło*, jak powiadają ci przedstawiciele, jak przedtem, tak i nadal pozostaje samodzielną grupą. Ostatecznie wszystko jest jedno, czy *Koło* jako „samodzielna“ grupa polityczna popierać będzie projekty rządu i jego przyjaciół w Dumie, siedzących w centrum i na prawicy — czy też jako część składowa „bloku“ rządowego. Chodzi o zupełnie inną samodzielność. Chodzi o to, czy stanowisko *Koła Polskiego* jest tak zasadniczo różne od stanowiska skojarzonej prawicy — rządowego bloku — że zgoła niemożliwą jest żadna wspólna linja. Jużci, nie straszne nam są takie wyniki *głosowania* w których *Koło* znajduje się się razem z Puryszkiewiczem“; druga Duma była nieraz świadkiem takiego położenia, kiedy skrajna lewica pomimo woli znalazła się w towarzystwie prawicy, nic odstępując ani na krok od swego zasadniczego stanowiska. Chodzi więc tu, nie o takie przypadkowe głosowanie, ale o zasadniczą politykę Koła Polskiego; czy zmierza ona do wzmocnienia opozycyjnych sił w Dumie i poza nią, czy też do wzmocnienia materjalnych podstaw tych sił, które zdawały się w dniach październikowych ostatnie wydawać tchnienie? Działalność trzeciej Dumy wskazuje najwyraźniej, i to daleko jaskrawiej niż obu jej poprzedniczek, że opiera się ona na potrzebie prawodawczego uprawomocnienia tych sił, które znalazły swój wyraz polityczny w skrajnej prawicy i centrum. Można niewiem jak pesymistycznie zapatrywać się na celowość opozycji, ale z chwilą, gdy na porządku dziennym jest sprawa wzmocnienia materjalnej podstawy tych sił, które uprawiają „polityczny system samowoli“—jak się wyraził poseł Dymsza do korespondenta Rjeczi —zasadnicze stanowisko przyjaciół tych sił i jego wrogów powinno jaskrawie się uwydatnić. Takie sprawy jakkolwiek ważne są dla jednej strony, najmniej być mogą objektem targu dla innej strony. Zdobyć „prawa dla ludu“ za cenę wzmocnienia sił wrogów tego ludu jest absurdem. Tu może być tylko jedno stanowisko — albo związać interesy swego istnienia z interesami tych wrogich ludowi sił—i wtedy stanąć po stronie prawicy, albo mając interesy wręcz przeciwne z interesami tych sił przyłączyć się do strony przeciwnej. Albo — albo.

Taką sprawą w której szło o takie zasadnicze stanowisko, było, wniesione niedawno na porządek dzienny Dumy, prawo z 9/22 listopada. Jak czytelnicy „*Społeczeństwa*“ wiedzą z korespondencji z Petersburga, umieszczonej w № 48 tego pisma, rozprawy wynikły z tego powodu, że prawo to wydane było na zasadzie § 87 praw zasadniczych, t. z. bez uprzedniej zgody ciał prawodawczych państwa.

Prawo te niweczy do gruntu gminę rosyjską t. z. „Obszczynę“ będącą przez długi szereg lat oczkiem w głowie rządu rosyjskiego. Czyniono z „obszczyny“ jeden ze specyficznych przejawów „rosyjskości“, w dobrze zrozumianym interesie szlachty i biurokracji rosyjskiej. Gmina bowiem z jej „poręką ogólną“ (krugowoj porukoj*) zapewniała kasie państwowej —regularny wpływ podatków włościańskich i ułatwiała zbieranie ich. Przywiązywaniem zaś chłopa do ziemi przyczyniała się do zwiększania ludności wiejskiej na roli i tem zapewniała szlachcie rosyjskiej tanią siłę roboczą i wysokie dzierżawy. Po za tem oddzielając stan włościański od innych stanów społeczeństwa, bardziej poddających się zmiennemu wpływowi czasu, stwarzała potężną siłę konserwatywną. Słowem, ten „specyficzny“ przejaw rosyjskości, był niczem innym, jak podporą siły materjalnej wielkiej szlachty rolnej i jej powinowatej — biurokracji rosyjskiej.

Jeszcze w ukazie 1904 r. podkreślono nietykalność gminnego ustroju Rosji — tak ważną zdawała się ona być dla tej formy rządu, która jest politycznym wyrazicielem interesów wielkiej szlachty rolnej. Lecz już w 1905 r. — jak to wykazał w swej mowie Miliukow— śród wyższej biurokracji są tacy, którzy przeczuwają niebezpieczeństwo, z powodu takiego odosobniania włościaństwa od reszty społeczeństwa, przy jednocześnie istniejącej gwałtownej sprzeczności interesów między włościaństwem, a szlachtą rolną.

*) Zniesioną dopiero w 1904 r.

WŁADYSŁAW GACKI.

NA POSTERUNKU.

Pan redaktor chodził wielkiemi krokami po pokoju, zarzuconym papierami, pismami, opałkami papierosów. Zatrzymywał się, przecierał czoło, zapalał gasnący papieros, przerzucał leżące na biurku czasopisma. Rozglądał się niespokojny, iakby czegoś szukał, czegoś, co mogło było zaginąć, a właściwie — nie istniało wcale. A tą rzeczą nieistniejącą był wątek myśli do napisania wstępnego artykułu. Termin był ostateczny i dalsza zwłoka pociągnęłaby opóźnienie numeru.

— A możeby jaki przedruk?!...

Pan redaktor szeroko otworzył oczy. Miejscowa prasa reakcyjna, t. zw. szmata endecka niejednokrotnie już wytykała mu zamieszczanie przedruków z „żydowskich“ pism warszawskich, z tryumfem zaznaczając, że ludność miejscowa nie jest jeszcze dość zdemoralizowana, aby dostarczać współpracowników „wstecznemu“ organowi...

Pan redaktor wysiłkiem woli odepchnął myśl zamieszczenia przedruku. Usiadł przy biurku i zaczął przerzucać rocznik swoich „Nowin“. Zatrzymywał wzrok na tytułach, odczytywał przelotnie okresy, zdania własnych artykułów. Pierwsze z nich tchnęły żądzę walki, wiarą w sprawę, w dobrą przyszłość—hasła szerokiego postępu padały, jak gromy... Głosy wołającego na puszczy... Młodzieńcza, naiwna wiara na tle nieznajomości terenu walki...

Wróg, którego wychowały stulecia, wypełzł na światło dnia — kler podstępny, podejrzliwy i ciemny, hypnotyzujący gnuśne, gnijące w bezsilności i sobkostwie mieszczaństwo, i sfora warchołów narodowych, gawiedź zapaśników, nie cofających się przed niczem, uprawiających oszczerstwo i przekręcanie rozmyślne słów przeciwnika... Panowie mecenasi, dyrektorowie, inżynierowie, z poświęcenia zniżający poziom swych głów udyplomowanych do warunków życia prowincjonalnego... Bilard, zielony stolik i knajpa—i wzruszenie pogardliwe ramion na pytania życia... Ich żony, chowające bogobojnie dziatwę, plotkujące i czytujące „nowości“. I podlotki, urozmaicające sobie nudę życia pielęgnowaniem bladnicy... Bawidamkowie klowni małomiasteczkowi, pluskający się w „śmietance“ towarzystwa... Kółka, kliki, towarzystwa wzajemnej adoracji — wszystko owiane smrodkiem prowincjonalnego podwórka... Garść ludzi, tułających się po biurach, niegdyś może zdolnych i obiecujących, dziś—rozbitków życiowych... I grupa postępowej inteligencji, ożywionej „najlepszemi“ chęciami, kilka gustownych saloników platonicznych „sympatyków“ różnych odcieni, grupa rzemieślników i garść uczącej się młodzieży — oto cały obóz postępowy. Dwa lata pracy w takich warunkach—wieleż tam sił zużytych, wysiłków wiary, zapału i wiele zawodów, rozczarowań — wiele

Taka sytuacja powiada członek rządowej komisji Jewreinow—wytworzyć może w bliskiej przyszłości kataklizm społeczny, jakiego jeszcze świat nie widział; wioskowi golce („gołyt'ba“) rozpowszechnili by wkrótce swe idee korzystania z równych działów ziemi i na majątki prywatne“. Jak widzimy, „obszczyna“ będąca dotychczas jednem ze źródeł siły szlachty rolnej, staje się już niebezpieczeństwem dla samego istnienia tej szlachty, a z nią i tej formy rządu, która jest przedstawicielką jej interesów.

Obawa ta, jak wiemy, nie była płonną. „Obszczyna“ była jakkolwiek nie jedyną, to główną przyczyną zubożenia włościaństwa rosyjskiego. Nie będąc w możności uchronić się od wciskającego się kapitalizmu, nie obroniła się przeciw dyferencjacji włościaństwa wewnątrz gminy. W gminie okazała się „gołyt'ba“, która dzięki niemożności rozszerzenia posiadłości gminy, zwiększenia produkcyjności pracy i wydajności ziemi musiała wpłynąć na ogólne zubożenie włościaństwa — i nie dziw że „idea korzystania z równych działów ziemi“—czyli idea podziału ziemi, idea wyrosła na gruncie „obszczyny“ zwrócić się musiała nie tylko do ziem gminnych, ale i do ziem szlacheckich, do ziem będących prywatną własnością szlachty rosyjskiej.

W ten sposób powstało niebezpieczeństwo grożące istnieniu materjalnemu szlachty rosyjskiej. Jednocześnie niebezpieczeństwo owe wzmacniało się i innemi względami. Przedewszystkiem osłabiało finanse państwa, które będąc oparte na wpływach z podatków od włościan, traciło na zubożeniu włościaństwa. Skutkiem tego zubożenia było i to, że siła pokupna wewnątrz państwa się zmniejszała—a temsamem wstrzymywał się rozwój przemysłu, opartego zarówno na dostawach rządowych jak i na zapotrzebowaniu włościan. A z zastojem przemysłowym musiała zmniejszyć się ilość włościan znajdujących zarobek w przemyśle. Temsamem zwiększała się ilość ludności włościańskiej na roli—a to ze swej strony przyczyniło się do zwiększenia tego *głodu ziemi*, który mógłby być zaspokojony jedynie tylko zamachami na własność szlachecką.

I oto kiedy niebezpieczeństwo w całej swej grozie stanęło przed oczami rządu i szlachty, kiedy zdołano opanować pierwszy jego gwałtowny napór na własność ziemską, rząd 22 listopada 1906 r. wydaje prawo, którem chce zadać cios „obszczynie“, odgrodzić prywatną własność ziemską od niebezpieczeństwa zagłady i wzmocnić naruszone podstawy materjalnej egzystencji wielkiej szlachty rolnej, stworzywszy z włościan kategorję drobnych właścicieli rolnych.

W każdym razie niezależnie od tego, jaki w przyszłości skutek będzie, to jedno jest pewne: materjalne podstawy wielkiej szlachty rolnej zostają nienaruszone, a tem samem i ta forma polityczna, która dzięki prawu 16 czerwca ma możność nazywać się przedstawicielstwem ludowem.

Że prawo to nieodpowiada interesom włościan, to potwierdzili i deputowani włościanie zabłąkani w skrajnej prawicy. Że wniesie ono dużo nienawiści do sfery włościańskiej, i że dzięki opiece naczelników ziemskich, którzy obowiązani są popierać chcących wyjść z gminy — doprowadzić może do starć gwałtownych; że dzięki panującej śród włościaństwa nędzy, łatwa możność sprzedaży ziemi uskuteczni się sprzedażą za psie pieniądzie, i przyczyni się do stworzenia lumpenproletarjatu, a w najlepszym razie powiększy masę bezrobotnych—oto argumenty, jakie słyszeć było można przeciw prawu owemu w Dumie. Ale już Lassalle mówił: słudzy reakcji to nie frazesowicze, to ludzie czynu. Wielka szlachta musi być uratowaną — Côute que côute.

Jakie stanowisko zajęły w tej sprawie frakcje Dumy?

Że skrajna prawica — polityczna przedstawicielka wielkiej szlachty, popiera to prawo — to zrozumiałe. O nią to chodzi. Że październikowcy—polityczni przedstawiciele wielkiego kapitału przemysłowego, popierają to prawo, to też o tyle zrozumiałe, o ile interesom wielkiego kapitału w obecnej chwili blizkie są interesy wielkiej szlachty. Reszta frakcji, zaczynając od kadetów — politycznych przedstawicieli drobnej burżuazji i inteligencji miejskiej, przez trudowników — przedstawicieli włościan aż do socjaldemokratów, przedstawicieli

---

wstrętu, jadu, goryczy wsączyło w duszę życie przez te krótkie lata...

Pan redaktor wsparł stroskaną głowę na dłoniach.

— Czy powinno się, czy można pozostać na stanowisku, gdy wiara doszczętnie wystygła w owocność, w możliwość walki, gdy przyszło się do wniosku, że niema żadnego terenu do walki — po napisaniu całego szeregu artykułów, w których ustalało się djagnozę stanu beznadziejnego?...

Pan redaktor spojrzał z trwogą na zegarek.

— Niema ratunku!.. A gdyby zachorować?.. Wcześniej można było napisać do kogoś ze znajomych w Warszawie, aby się zlitował i przysłał cokolwiek, a teraz?.. Wostateczności palnąć artykuł nielegalny, niech zamkną pismo!.. To jest pomysł, choć właściwie to...

Pan redaktor pasował się z myślami, szarpiąc w rozdrażnieniu brodę. Sięgnął po tekę, mieszczącą rękopisy, wyciągnął garść zapisanych stronic, rozłożył na stole, począł przeglądać.

— Naród poetów — jako żywo! Sama literatura piękna — poezje, nowele...

Wyciągnął drugą garść.

— To samo — poezje, poezje prozą, nastroje, momenty, chwile tęsknoty, tęsknice, smutki i smętki, łzy, duże łzy — całe łzawnice...

W przystępie dobrego humoru pan redaktor odczytywał te elukubracje poetyckie, dokumenty epidemicznego grafomaństwa, obrażające nie tylko słuch, lecz wymagania prawidłowej pisowni. Ale w danej chwili pan redaktor nie był usposobiony do śmiechu. Powstał, wytrząsnął całą zawartość teki i drżącemi rękoma zaczął przerzucać rękopisy.

— Żeby choć jedna popularna praca z dziedziny nauk przyrodniczych, czy społecznych, czy z zakresu hygieny!.. Sama literatura piękna.

Począł wpychać całemi garściami rękopisy do kosza, sycząc z wściekłością.

— Rękopisów nie odsyłamy, rękopisów nie odsyłamy...

Biegał wielkiemi krokami po pokoju, rzucając przez zęby:

— Grafomani, nieucy, półgłówki, niedowiarki — gienjusze zapoznani!

Opadł na fotel zadyszany, zalany potem. Odpoczywał przez chwilę, usiłując opanować rozstrój i za wszelką cenę wycisnąć z siebie artykuł wstępny.

Znów mierzył pokój równemi krokami; giestykulował, rzucając urywane zdania.

— Budzić poczucie odpowiedzialności za życie, którem żyjemy... Tak, to jest wielkie dzieło, zasadnicza kwestja — być czy nie być...

Słowa rozebrzmiały głucho w pustce czterech ścian.

proletarjatu — wypowiedzieli się przeciko temu prawu*).

A *Koło Polskie*? Jakie stanowisko zajęło w tej, tak ważnej sprawie koło Polskie? Czy stanęło ono po stronie opozycji, po stronie mniej lub więcej konsekwentnie walczącej z „politycznym systemem samowoli"—czy też po innej stronie?

Koło Polskie ustami posła Wańkowicza wypowiedziało swą solidarność „z podstawami prawa z dn. 22 listopada".

Koło Polskie wyraziło solidarność klasowym interesom reakcji, Koło polskie solidaryzując się z interesami klasowymi biurokracji i wielkiej własności szlacheckiej, wyraziło solidarność temu całemu „prawodawstwu", którem zajęta jest obecna Duma, a mianowicie prawodawstwu wzmacniającemu obecny „polityczny system" Koło polskie postępując w tej sprawie bezsprzecznie w interesach wielkiej własności rolnej, zsolidaryzowało się z konsekwencjami panowania tej własności, t. z. z całą działalnością sił, dla których „dzięki Bogu konstytucja nie istnieje". Słowem Koło Polskie, broniąc swych własnych interesów, broni i interesów reakcji. Istnienie i żywot Koła Polskiego — to istnienie i żywot reakcji.

Jest to fakt, który tylko dla krótkowzrocznych polityków mógł być niezrozumiałym. Już w pierwszej Dumie przedstawiciel Koła Polskiego występował w obronie szlachty rosyjskiej przeciw zasadzie przymusowego wywłaszczenia, które rozumie się nie zatrzymałoby się i przed wielką szlachtą polską. Bronić interesów wielkiej szlachty rosyjskiej, to znaczy być sojusznikiem prawicy i centrum.

I naprawdę nie potrzeba na to układów formalnych, ani piśmiennych dowodów pomiędzy zjednoczoną prawicą a Kołem Polskiem, by przekonać się o istniejącym bloku. Zasadnicze interesy reakcyjnej większości Dumy, są interesami Koła Polskiego. I dlatego *Koło Polskie* głosować będzie zawsze tak, by wpływ i siła wielkiej szlachty rolnej nie była naruszoną. Tua res agitur.

M. Broński.

*) Nie mogę się zgodzić ze zdaniem autora korespondencji z Petersburga umieszczonej w № 48 „*Społeczeństwa*", który pisząc o stanowisku frakcji S. D. twierdzi, że wystąpienie jej w tej sprawie „wyraźnie w obronie gminy" przeczy zasadzie socjaldemokracji. Zasadą tą, ma być, popieranie tych środków, które przyczyniają się do „zróżniczkowania interesów klasowych i wytworzenia proletarjatu rolnego".

Przedewszystkiem frakcja S. D. w Dumie nie występowała w obronie gminy. Gegecstori przedstawiciel frakcji S. D. wyraźnie wskazywał na niezbędność ustanowienia takich norm, przy których możliwem byłoby wolne wyjście z gminy. (Mowa jego na 5 posiedzeniu 6/11 oraz deklaracja frakcji). Jeżeli zaś była przeciw prawu z 22/11 to z tych samych politycznych motywów dla których rząd to prawo wydał.

Następnie S. D. nigdy nie uważali za konieczne *przyczyniać* się „do wytwarzania masy proletarjatu rolnego"—zostawiając to obiektywnemu rozwojowi gospodarstwa. Natomiast niezbędna była *obrona istniejącego* proletarjatu. Również nie leży na terenie działalności S. D. przyczyniać się do „zróżniczkowania interesów klasowych" które idzie w parze z rozwojem kapitalizmu.

NA WIDNOKRĘGU POLITYCZNYM.

P r z e s i l e n i e k o n s t y t u c y j n e w Niemczech trwa nadal. Rząd zrozumiał wreszcie, iż nastrój opinji społecznej tym razem zbytnio jest napięty, aby módz odpowiedzieć obstrukcją na wezwanie parlamentu. Więc, choć sam kanclerz nie stawił się, niemniej jednak wydelegował swego zastępcę w osobie sekretarza stanu. Mowa tego os-

Pan redaktor zamilkł, jakby się uląkł brzmienia swego głosu.

— A możeby tak coś o walce z analfabetyzmem, o popularnem nauczaniu?... Ho-ho-ho-ho-ho...

— To już wszystko było, było i minęło bez echa... A może o potrzebie urządzenia kabaretu — toby się podobało, he?...

Pan redaktor zaśmiał się cicho, sycząco.

— Tu potrzebna jest satyra — tak, satyra. Walić satyrą na prawo i lewo, po łbach, nie żałować, chłostać bezlitośnie.

— Tematów nie brak!... Taki pan radca, naprzykład, osobistość popularna, kształtujący światopogląd na „Roli" — właściciel dorosłych córek — specjalista od zaczepiania służących, stary sprośnik, w kółku swych kolegów, pp. radców, całemi godzinami słuchający lub opowiadający „kawały"... Grzeszki pana radcy — co, zły temat?.. Albo pan mecenas w błyszczącym cylindrze, poświęcający się dla dobra prowincji, szczerą polskość głoszący, przy kieliszku wzywający do pojednania dwa narody bratnie — osobistość, we wszystkich sferach zarówno dobrze widziana... I pan doktór, którego trzeba wyciągać z knajpy lub z bilardu, a czasami czekać końca partji, — zanim raczy pofatygować się do chorego... Co zły temat?... A ks. prefekt, czujny dusz pasterz, szczery polak i katolik, stale uprawiający denuncjację, gdy chodzi o usunięcie wrogich żywiołów... A pedagog, powołany ze stanowiska urzędnika poczty na nauczyciela gieografji i historji?.. Tak, tematów by nie zabrakło: każda scena — satyrą stać się może... Ale do tego potrzebny jest talent, tak, duży talent i myśl wolna, niezależna, nie licząca się z żadną uświęconą zasadą... Tak, do tego potrzebny jest talent, duży talent... A gdy go się niema?... A gdy się go niema?..

I gdy inny oręż kulturalnej walki — strzaskany w szczątki o zbyt twarde łby?.. Więc pogodzić się ze stanem beznadziejnym, usunąć się — z wstydem, z upokorzeniem., Gdyby choć z wiarą, że kiedyś może inni rozpoczną to dzieło...

Pan redaktor zwiesił ramiona, opuścił ciężko głowę na piersi, jakby uginając się pod ciężarem ponad siły; wtłaczał swe czoło coraz głębiej w fotel, kurczył się, malał. Śmiertelnie blady, jakby pod wpływem gwałtownego spazmu serca, z twarzą zmiętą, zoraną zmarszczkami, brózdami, z oczyma zapadłemi w głąb czaszki, z obwisłemi wargami — stał się w jednej chwili starcem zgrzybiałym, zapadł w niemoc, kamienny bezwład, martwotę...

I ten artykuł nie został już nigdy napisany, gdyż pan redaktor tego samego wieczoru powiesił się.

tatniego zawierała wiele momentów pojednawczych, niemal obiecujących, choć dla nikogo nie jest tajemnicą, iż rząd dalekim jest od wszelkich, choćby najdrobniejszych ustępstw. W imieniu partji robotniczej, która zainicjowała tę kampanję o reformę konstytucyjną, przemawiał poseł Ledebour, poddawszy krytyce cały system rządów biurokratycznych. Podobnie, jak poprzednio Singer, wzywał on parlament aby skorzystał z wyjątkowej okazji, jaką wytwarza reforma finansów, aby nie uchwalił nowego prawa finansowego, dopóki nie otrzyma prawdziwych gwarancji parlamentarnych. Nie prosić — powinien parlament, lecz żądać, gdyż posiada on w ręku siłę. Parlament musi zdobyć prawo interpelacji, którego nie posiada, parlament musi zdobyć prawo mianowania i dymisjonowania ministrów, gdyż tylko w ten sposób potrafi on wywrzeć wpływ na bieg polityki zewnętrznej i wewnętrznej. Rząd powoływał się na radę związkową, która się w tej sprawie musi wypowiedzieć, ale Ledebour w odpowiedzi na to wskazał, iż rada związkowa jest fikcją, dekoracją rządów, znajdujących się w rękach biurokracji niemieckiej. Mowa Ledeboura pomimo powszechnej niemal niechęci, wywarła jednak głębokie wrażenie i parlament musiał się zgodzić na powierzenie wszystkich wniosków, dotyczących reformy konstytucyjnej, komisji parlamentarnej, złożonej z 28 członków. Odesłanie wniosków do komisji może, rzecz prosta, być manewrem ze strony większości, która spodziewa się tą drogą uśpić opinję publiczną. Niemniej jednak jest uchwała ta świadectwem bankructwa starego systemu; większość nie śmiała otwarcie odrzucić wniosku opozycji. Dalsze losy polityczne Niemiec zależeć będą od energji społeczeństwa niemieckiego; zadaniem stronnictw zachowawczych będzie usypianie tej energji.

Jubileusz Franciszka Józefa nie wypadł zbyt uroczyście. 60 lat panowania tego monarchy nie uzdrowiło jego państwa, nie umocniło go ani wewnątrz, ani zewnątrz. Wprost przeciwnie, Austrja przeżywa w chwili obecnej przesilenie groźne pod każdym względem. W ostatnich latach Franciszek Józef zaczął lepiej rozumieć wymagania postępu, z rzadką u tak starego monarchy energją przeprowadził reformę wyborczą, a ostatnio zapowiedział dalszy krok w kierunku demokratyzacji ustroju politycznego — parlamentaryzację rządów. Ale stare grzechy się mszczą. Na całym terenie Austrji wrą dzikie namiętności nacjonalistyczne, barbarzyński szowinizm święci najobrzydliwsze orgje: niemcy szczują przeciw włochom, czesi przeciw niemcom, nie mówiąc już o Węgrzech, gdzie, pod przykryciem korony, odbywa się najnikczemniejsze gnębienie narodowości słowiańskich. Ale i słowianie austrjaccy, a w pierwszym rzędzie czesi nie dają bynajmniej dowodów kultury politycznej. Z rozdmuchanej nanowo idei wszechsłowiaństwa, wydobyli oni najgorsze jej czynniki — z solidarności wszechsłowiańskiej ukuli oręż nienawiści przeciwko niemcom. Takie już są losy mieszczańskiej ideologji — sieje ona braterstwo, a zbiera bratobójstwo. Był czas, kiedy przywódca czechów Palacky mógł powiedzieć w sejmie, że „gdyby Austrji nie było, należałoby ją wynaleźć“, istnienie Austrji uważano bowiem za niezbędny warunek zdrowego rozwoju zaludniających ją narodów słowiańskich. Obecnie, gdy Austrja przyłączyła do siebie Bośnię i Hercegowinę, czesi podnieśli krzyk: słowianom dzieje się krzywda! — a posłuszny przywódcom tłum, rzucił się na niemców, aby zaspokoić rozkiełznane pragnienie zemsty.

Są to dopiero początki wypieszczonej, między innemi, i przez naszą reprezentację, idei wszechsłowiańskiej. Dalszy jej ciąg dopiero kiełkuje, ale spodziewać się po nim można najgorszego. Serbowie i Czarnogórcy zachęceni tyloma znakami sympatji rzucą się na oślep i w najlepszym razie zostaną zdeptani przez braci słowian, odzianych w mundury austrjackie; ale może być wynik gorszy, niemasz bowiem państwa w Europie, któreby nie rościło pretensji na Bałkanach, a podział będzie trudny i bodaj czy nie krwawy. Z takiego kataklizmu europejskiego najgorzej wyszłaby może Austrja, ale gotując jej upadek Czesi mogą srodze się zawieść, bo zginąć mogą z nią razem. Rząd austrjacki przedsięwziął surowe represje, ogłosiwszy stan oblężenia w Pradze i okolicach, ale, wiemy przecież, że na bagnetach siedzieć nie można, a w perspektywie przyszłość złowróżbna.

Manifestacje antiaustrjackie we Włoszech stanowią również jeden z objawów walki o Bałkany. Włochy mają interesy zagrożone obecnie przez Austrję w Albanji, nadto traktat Berliński przewiduje poważną rekompensatę dla Włoch, w razie zmiany status quo na Bałkanach. Dodajmy do tego tradycyjną niechęć Włochów do Austrji, którą traktują jako najeźdźcę, włosko-niemiecki zatarg uniwersytecki w Tryeście, oraz interes, jaki mają w rozbudzeniu nacjonalizmu stronnictwa reakcyjne, a będziemy mieli przed sobą cały kompleks czynników, składających się na te alarmujące Europę wydarzenia. Narazie rząd włoski starał się z trybuny parlamentarnej uspokoić namiętności, ale niemniej manifestacje te dowodzą, że w razie konfliktu europejskiego o Bałkany i Włochy będą miały coś do powiedzenia. Tem gorzej!

Praca albo Rewolucja — niech decyduje rząd — tak brzmi napis na sztandarach armji bezrobotnych, rycerzy głodu, jak ich przezwała opinja publiczna Anglji. W chwili, kiedy jenerał Roberts domaga się od Anglji nowych ofiar na zbrojenie, te olbrzymie manifestacje robotników bez pracy robią wyjątkowe wrażenie. Anglja przeżywa przesilenie, które się przewleka, jej stopa konsumcyjna się obniża, zdolność podatkowa spada, ale co to wszystko obchodzi jenerała Robertsa i całą klikę imperjalistów. Ale, co ciekawsze, imperjaliści wyzyskują bezrobocie dla swoich celów, dowodząc, iż cała ta armja bezrobotnych zniknie, gdy odpowiedni procent ludności znajdzie się w szeregach armji, a nadto wzmocniona obrona narodowa dostarczy niebawem Anglji nowych rynków. W gruncie rzeczy tak ciężkie ofiary, jakich wymaga stała armja znacznie obniżą stopę zapotrzebowania ludności i wytworzą nową, znaczniejszą jeszcze armję bezrobotnych, a wówczas nie będzie już innego wyjścia, jak poszukiwanie nowych rynków na drodze zbrojnego najazdu. W dowodzeniu imperjalistów tkwi tedy zapowiedź krwawych zapasów, grożących Europie — jest to jedyna kropla prawdy, zawarta w ich ideologji.

Prawo akcji politycznej odebrane zostało związkom angielskim. Sąd kasacyjny uchwalił mianowicie, iż związki zawodowe, jako organizacje ekonomiczne, nie mogą narzucać swym członkom składek na cele polityczne. Jest to nowy dowód zbrojenia się mieszczaństwa przeciw organizacji robotniczej. Kilka lat temu głośnym był znakomity wyrok w sprawie strajku na stacji Taf-Val. Wyrok ten uderzył w samo serce ówczesnej organizacji ro-

botniczej — w kasy, czyniąc je odpowiedzialnemi za szkody wyrządzone przez strajk przedsiębiorcy. Skutek jednak tego wyroku był wprost przeciwny temu, czego życzyli sobie przedsiębiorcy: było to dla robotników hasłem do organizacji politycznej — robotnicy zrozumieli, iż muszą ująć w swe dłonie prawodawstwo, żeby nie stracić swej potęgi ekonomicznej. Od tego czasu rozwinęła się i wzmogła organizacja polityczna robotników angielskich, wywierająca już obecnie olbrzymi wpływ na życie polityczne Anglji. Obecnie przedsiębiorcy, przez usta tych samych sędziów, godzą w tę nową organizację. Ale i tu skutek będzie ten sam: jeżeli izba lordów, jako najwyższa instancja, nie odrzuci tego wyroku, to robotnikom pozostanie zorganizować się niezależnie i równolegle w partji politycznej — i tyle. Natomiast moralny wynik tego wyroku nie da na się długo czekać.

Almar

„JASNY PAN".

„Kiedyście jaśni, to świećcie jaśnie"
„A nie, to niech was jasny piorun trzaśnie",

W ludowem, społecznem piśmie „Zaraniu" w dziale korespondencji z kraju spotykam wiadomość taką: w gminie Błędówka w płockiem, odbywało się zebranie gromadzkie. Ludziska zeszli się, aby uchwalić fundusze na szkołę prywatną. A uchwalili... „żeby dla wójtowego zięcia wyprosić pozwolenie na karczmę". Uchwała zaiste niespodziewana. Zamiast projektowanej szkoły—karczma. Korespondent „Zarania" z oburzeniem piętnuje ten fakt słowami: „Ludu polski! Kiedyż przestaniesz być złodziejem swojej kieszeni, złodziejem własnego zdrowia. Ludu Polski! kiedy zaczniesz odpychać tych, którzy cię prowadzą jak barana, gdzie chcą a zawsze z twoją krzywdą". Korespondent upatruje postronne wpływy działające w uchwaleniu takiego postanowienia ale ponieważ nie postawił kropki nad i więc rozumieć to należy tak, że w okolicy, która jest jeszcze dotąd, pod silnym wpływem stronnictwa, stojącego na straży tradycji narodowych w okolicy, gdzie są całe rodziny ziemiańskie, które z marnych kiełbi wyrosły na grube szczupaki na dochodach z gorzelni, że w prostym interesie ziemian tamtejszych leży rozpojanie ludzi.

Dzieją się z tego powodu w tamtych stronach rzeczy wprost cyniczne. Np. obywatel X. stawia gorzelnie, urządza poświęcenie tejże, na które przyjeżdża z Warszawy brat jego ksiądz i wypowiada wobec licznie zgromadzonych na tę uroczystość rzesz ludu mowę, w której wysławia „umiarkowane pijaństwo" a ostrzega i to dość miękko „przed nadużywaniem trunków".—Ponieważ młody kapłan jest bratem dziedzica zamierzającego ciągnąć wielkie zyski z gorzelni, śpieszy mu w tem z pomocą swoim autorytetem kapłańskim, zapomina jednak że byli tacy, którzy go widzieli oklaskującego wykład prof. Kleckiego*) który z całą bezwzględnością potępiał nawet umiarkowane używanie alkoholu. Tak, ale odczyt miał miejsce w Warszawie na „Kursach społecznych" urządzanych przez rzekomych „modernistów" w sutannach. Tam wstyd by było młodemu księdzu okazać się zacofańcem. A że tam wkrótce potem, trzeba było „chamom" zalecić „umiarkowane pijaństwo", na głuchym partykularzu, to i cóż wielkiego? chłop polski pił i pić będzie. Otóż to jest twierdzenie błędne. W tych stronach, gdzie oświata i uświadomienie społeczne wśród ludu podnosi się, spada w gwałtowny sposób zapotrzebowanie trunku. Jestem pewien, że taka uchwała jaka świeżo zapadła w gminie płockiej, nie byłaby nigdy przeszła np. w lubelskiem i w wielu innych okolicach, gdzie lud już myśleć zaczyna samodzielnie.

---

*) Uczony badający alkoholizm.

Tego lata będąc w piotrkowskiem w okolicach „świętego" Nowego Miasta gdzie lud jest w wyjątkowej ciemnocie pogrążony a pijaństwo krzewi się wśród niego bardzo, dowiedziałem się o fakcie brutalnego cynizmu. — Było tak. W gminie Góra, mającej swą kancelarję w Nowem-Mieście, odbywa się zebranie gminne. Przybywa na nie dziedzic. Jest nim tam miljonowy człowiek „nie żaden pan z panów ale robigrosz" jak o nim mówią chłopi miejscowi, „kuzyn Tysikienierów", jak sam o sobie przy każdej sposobności zaznacza.—Zebrani gminiacy radzą nad potrzebami gminy. Dziedzic rzuca projekt, założenia gospody dla przyjeżdżających do Nowego Miasta na odpusty, jarmarki i t. p. włościan, którzy dotąd nie mają pod tym względem żadnej wygody.

Zebranym gminiakom projekt się podoba, uznają jego potrzebę, zastrzegają sobie jednak wyraźnie, „aby gospoda przez gminę Górę uchwalona *nie była karczmą* lecz miejscem przyzwoitego schronienia dla ludzi, koni i wozów, gdzieby można dostać herbaty, chleba i ciepłej strawy". Na otwarcie takiego typu gospody dają swoje przyzwolenie i upoważniają dziedzica do jaknajrychlejszego otwarcia jej. Pod dobrem wrażeniem, że uchwalili rzecz pożyteczną i godziwą kładą w *dobrej wierze* podpisy niezgrabne i liczne krzyżyki jako niepiśmienni pod protokółem i rozchodzą się do domów z uczuciem ulgi dającej się streścić w słowach: „Będziemy mieli nareszcie porządną gospodę dla ludzi trzeźwych".

W parę miesięcy po przeprowadzeniu formalności, dziedzic otwiera przyobiecaną gospodę.

I cóż się okazuje? Oto że jestto sobie najzwyczajniejsza karczma z wyszynkiem wódki i piwa, z muzyką i t. p. przyjemnościami. Gminiacy są zdumieni i rozsierdzeni takiem lekceważeniem ich uchwał.

Ksiądz proboszcz niedawno przybyły z Warszawy na parafję i ożywiony społecznemi chęciami piorunje na nich z ambony. Ci mu się przysięgają, że uchwalili nie jedną więcej karczmę w Nowem Mieście, *alę pierwszą gospodę bez wódki.* Robi się awantura, ksiądz napada na chłopow, ci się bronię od zarzutow, dla rozświetlenia wątpliwości przynoszą protokół owego zebrania i cóż się okazuje? oto na żądanie dziedzica „pan pisarz"tak sporządził protokoł owego zebrania że herbata i ciepła strawa, o którą dopominali się gminniacy została *zamieniona w „ciepłe napitki"* i na tej podstawie zarząd akcyzy udzielił dziedzicowi Nowego Miasta pozwolenia na otwarcie zajazdu z kąrczmą. Można sobie wyobrazić oburzenie wieśniaków tak niegodnie wyprowadzonych w pole. Postanowili bojkotować ową nową karczmę i wnieśli protest o sfałszowanie uchwały do władz. Czy uzyskali satysfakcje nie wiem jeszcze tego. Zdaje się że nie. bo byłbym się o tem dowiedział. Pozostaje teraz do osądzenia sam fakt. Ów postępek dziedzica, człowieka o kulturalnej powierzchni, który z taką bezwzględnością nie przebierając w środkach, dąży do wytwarzania sobie coraz nowych źrodeł dochodu. Jakaż wobec tego postępku „jasnego pana", będzie wina społeczna ciemnych chłopów z płockiej gminy uchwalających zamiast szkoły-karczmę? A jakby na ironję ów postępek dzisiejszego „jasnego pana" dzieje się na terytorjum posiadłości, które kiedyś należały do „wielkiego przyjaciela ludu", do twórcy konstytucji 3 Maja, marszałka St. Małachowskiego, którego wspomienie lud tutejszy zachował we wdzięcznej pamięci.

St. Poraj.

FELJETON LITERACKI.

„Dzieje Grzechu" nie uniknęły podejrzenia, że są utworem tendencyjnym. Mówiono coś o tem, że Żeromski chciał napiętnować brak siły, albo nawet okropne skutki prostytucji. Kto szuka tendencji, ten — rzecz prosta — znaleźć ją może wszędzie, lecz „Dzieje

Grzechu“ powstały z innego źródła. Autora nękały ciężkie przygnębienia, beznadziejne rozterki, chmurne zgryzoty, ciemne i jadowite smutki. Tym gnębiącym go uczuciom chciał nadać kształt i barwę. Znalazł w męce źródło cierpkiej rozkoszy artystycznej. Na przestrzeni dwuch tomów krzewił i kultywował torturującą go apatję. A że wpadł na pomysł Ewy, nie zaś zgoła inny, to rzecz drugorzędna i przypadkowa.

Gdyby Ewa była kobietą w całej pełni i okazałości niewieściego rozkwitu, o wybujałych zmysłach i płomiennej fantazji, to proces wzrastania w niej grzechu mógłby być zaiste „Dziejami Grzechu“, pleniącego się na niewieściej połowie rodzaju ludzkiego. Lecz w wyborze bohaterki wyraziła się skromność naszej epoki artystycznej — fakt, że artysta, licząc się z rzeczywistością, niezawsze śnie — zwłaszcza jeżeli chodzi o epokę współczesną — sięgać po typy okazałe. Ten zgubny realizm jest prawdziwą klęską dla sztuki. On to sprawia, że wszystkie kręte ścieżki zamiarów artystycznych wiodą ostatecznie do kapliczki litości. Lecz litość sprawia cierpką rozkosz już przez sam fakt swego istnienia, a przeto mało pobudza do czynu. Wartość litości jest przeceniona. Jeżeli chodzi o tendencję, to przedstawienie wspaniałości ludzkiej jest rzeczą bardziej celową, niż przedstawienie nędzoty i pod tym względem „Duma o Hetmanie“ jest szlachetniejszą, niż „Dzieje Grzechu“

Jeżeli popełni się nadużycie i zmierzy utwór artystyczny „Dzieje Grzechu“ miarą tendencji, to niewątpliwie wypadnie, że jest to utwór niemoralny. Bo „Dzieje Grzechu“ przygnębiają, sprawiają, że maleje ufność w naturę ludzką. A czy powinno się wszczepiać zniechęcenie społeczeństwu i tak nieodznaczającemu się zbytnią energją, jak polskie. Jest to to samo, co odradzać naszym poetom miejskim, pół życia spędzającym w Udziałowej, studjowanie natury, której nigdy nie widzieli. Na takie odwrócenie się od natury mógł sobie pozwolić Oskar Wilde, człowiek, który wchłonął już olbrzymią moc widoków podczas podróży... Ale artysta-Udziałowiec, studjujący czarność nocy na szklance czarnej kawy, może sobie śmiało pozwolić na obcowanie z naturą, na czem z pewnością zyska. „Dzieje Grzechu“ to przykład, że artysta-samotnik pokonywa niekiedy w twórcy społecznika. Wtedy powstać może dzieło piękne, lecz zazwyczaj „niemoralne“, to jest nieodpowiadające ideałom bieżącym.

Naogół wyolbrzymiono znaczenie tej powieści. Była ona przez czas niejaki kwestją dnia. Czytano ją skwapliwie, komentowano, spierano się, potępiano, zachwycano się. Dziś cały ten grzmiący okres minął... Słomiane ognie pogasły.

I jakże nie miały pogasnąć, kiedy z szaloną żarliwością szukano szlachetnych tendencji tam, gdzie ich zgoła nie było.

„Dzieje Grzechu“ mają znaczenie czysto artystyczne dzięki misternemu mozajkowemu stylowi i wielkiej intensywności uczucia. Lecz nawet to znaczenie jest dość ograniczone. Kogo np. z artystów zapłodni do nowej twórczości ten utwór pełen niezdrowych wyziewów? Kto zechce kontynuować, przekształcać dalej typ Ewy? I po co? Czy aby skończyć z nią na szpitalnem łożu?

Inne postaci powieści, poza Ewą, nie mają znaczenia. Po za nią można mówić już tylko o zaletach stylu. Trzeba było nielada artystycznej sumienności, aby odtworzyć uczuciowo te setki drobnych fal, załamów i zygzaków, pełganie i gaśnięcie w duszy Ewy gwiazdek i wszelakiego rodzaju ogarków. Ale to właśnie stawia Ewę żywą tuż przed oczy.

Kim jest Ewa?

Odpowiedzieć na to jest trudniej, niż np. na pytanie: kim jest Teresa Raquin. Zola nieustannie a brutalnie podsuwa czytelnikowi myśl, że Teresa Raquin jest zbrodniarką, odgrywa w ciągu całej powieści rolę niezachwianego prokuratora, niemal, że się odgraża i wiadomo, że gotuje jej los straszliwy. Dziś taki sąd brzmi już nieco śmiesznie. Co było przed laty rzeczą jasną, staje się znów zagmatwaną i ciemną. Zmniejsza się popęd do radykalnego sądu, człowiek gubi się w domysłach, rozpływa w odcieniach...

Taki właśnie jest stosunek autora do Ewy. Żeromski nigdy Ewy nie sądzi. W porównaniu z Teresą Raquin Ewa Pobratyńska jest bez wątpienia głębszym i wszechstronniejszym typem duszy ludzkiej. W jej postaci prócz jasno oświetlonych punktów, o których można wydać sąd, są ciemniejsze, o których można tylko rozmyślać...

W punktach zarysowanych jasno Ewa jest urodziwą mieszczaneczką, która niezmiernie łatwo wpada w rozstrój psychiczny. Niema w niej hartu, aby przeżyć nieszczęście. Dziedzina podświadoma gra w jej życiu rolę złowrogą. Codzień z tępą zgrozą przekonywa się, że jej głębiny fermentują, że wydzielają się z nich trujące opary i przegryzają misterną budowę sumienia. To rodzaj wizjonerki lub urzeczonej. Zapada w odrętwienie, ocyka się w zaułkach bez wyjścia, żyje z godziny na godzinę. Oddana potwornym łapom Pochronia poddaje się swemu losowi jak zamroczona obuchem.

Ewa jest chorą psychicznie i dlatego przecenia wartość siły i zdrowia w ordynarnym Pochroniu. Zbrodnią też jest, że stała się zbyt łatwo chorą. W położeniu Ewy podczas ciąży większość kobiet znalazłyby ocalenie w myśli, że to będzie *jego* dziecko. Lecz Ewa ani pomyśli o tem. Może dlatego, że jest z natury pesymistką i czuje, że tylko w złowrogiem udręczeniu wyczerpie wszelkie możliwości swego ja, a może poprostu przez zemstę. Bo niepoczytalne czyny Ewy zmierzają często w stronę jednej cechy, istniejącej w zasadzie jej charakteru — mściwości. Opuszczona, ścigana ślepiami świata, mści się na Łukaszu, zabijając dziecko. Wprawdzie czyni to w gorączkowym szale, lecz jako skutek kiełkujących może nieświadomie zamiarów. Ale zemsta nad Łukaszem z napotkanym przypadkowo studentem? A śmierć Szczerbica? Na niego to rzuca Ewa odpowiedzialność za swe winy i losy. A może i za to, że nie jest silny i że przyszedł zapóźno, a przez to ona nie może go kochać.

Mieszczaństwo Ewy widać również w braku wyobraźni. Jak czcze są jej fantazje, np. historja owego konia pod wierzch, który ostatecznie nie zostaje kupiony. Albo bezładne skupowanie fatałaszków... Wreszcie — rzecz najważniejsza — stosunek trwożliwie—poddańczy do napastującego ją szatana. Bywali przecież ludzie, którzy zapisywali duszę djabłu, aby zdobyć potęgę. Ewa ani pomyśli o tem...

Wiele osób zachwyciła nadzwyczajnie uporczywa miłość do Łukasza. Ale ta miłość jest rodzajem dobrze zakonserwowanej mumji, która towarzyszy Ewie wszędzie, ale w chwilach największego grożącego jej niebezpieczeństwa ani palcem nie ruszy, żeby ją ostrzedz. Jest to bezwątpienia jeden z objawów rozprzężenia duchowego owa manjakalna miłość, a siła Łukasza i władza jego nad Ewą tkwi nie w jego zaletach, lecz w tym fakcie, że Ewa pokochała go przed pierwszą zbrodnią. Później życie jej serca, zamącone straszliwemi zdarzeniami, jest już tylko tęsknotą do dawnego szczęścia.

Robić zarzut Żeromskiemu, że w swej powieści zbyt wielką rolę oddaje wypadkowi — jest rzeczą niesłuszną. Ewa nie doznaje wypadków, które niechybnie muszą ją zgubić.

Jeżeli Ewa upada, to zapewne jako ofiara przeszłości. Są w niej echa i rany tych czasów, kiedy kobiety palono na stosach, a straszliwe epidemje wyludniały miasta. W jaki sposób reagowała wątła dusza kobiety na te okropności? Siły nerwowe uginały się, pękały, ciężkie rozstroje psychiczne kwitły.

Ewa, być może jest spadkobierczynią owych straszli-

wych wieków. „Dzieje Grzechu" — to poważna próba artystycznego zgłębienia chaosu duszy kobiecej.

Natomiast w stosunku do postaci męskich niema tych usiłowań. Ogółem skonstatować można w literaturze pewne osłabienie w kierunku zapału do duszy męzkiej. Mężczyzna poszukiwanie własnego ja odłożył nieco na stronę, wyrzekł się siebie i zajął się kobietą. Jestto tryumf zmysłowości, ale aby się zamaskować ukuł mężczyzna legendę o wyjątkowej tajemniczej piękności duszy kobiecej, w co niewiasty uwierzyły skwapliwie.

Nie można zbyt serjo traktować mężczyzn z „Dziejów Grzechu". Taki Niepołomski np. jest śmieszny. Śmieszny, kiedy ucieka przed Ewą, kołacze do drzwi prałatów lub broni się przed zmysłowością greckiemi tekstami. Ciągle drga w nim nuta fałszywa. Jaką czczą deklamacją są nap. jego listy miłosne! Szczerbic jest mężczyzną tylko z pozoru. Jako kobieta mógłby być zajmujący. Rozbitkowie życiowi — Jaśniach i Bodzanta nie budzą zainteresowania. Pochroń jest zbyt ordynarny i prosty, Płaza-Spławski—szkic dobrze zarysowany zewnętrznie. Mgieł, zasnuwających głębszą treść Płazy-Spławskiego, autor nie rozwiał. Rzecz prosta, że można snuć fantazyjne domysły, widzieć np. w Płazie postać tragiczną w swej zbrodniczej samotności, lecz przytem należy nie zapominać, że nie będzie to już analiza krytyczna, lecz twórczość, dla której punktem wyjścia będzie nie natura, lecz sztuka — szkic Żeromskiego.

Dzieje Ewy to dla duszy męzkiej świat dość daleki i prawdę mówiąc—obcy. Jej nieustanne zapadanie z nieszczęścia w nieszczęście, choroba i niewolnictwo duchowe—budzą zniecierpliwienie. Powieść miała ogromne powodzenie dzięki kobietom. Bandytyzm, aktualność, prostytucja, a jeśli chodzi o wymagania subtelniejsze— kreacja Ewy, w której dał Żer. fragmentaryzm kobiecego ducha — pociągnęły rzesze. Tu kobieta znalazła odbicie nietylko swej salonowej, lecz i upiornej jaźni. I ucieszyła się niezmiernie, że tak właśnie ją przedstawiono, dając w ten sposób piękny dowód dobrego smaku. Tak, tak — było to radosne zadość uczynienie za nadużywanie w literaturze kobiety, jako damy salonowej! Wiele kobiet po pochłonięciu „Dziejów Grzechu" za nic nie chciały czytać innych autorów, aby nie zmącić w sobie upajającego wrażenia. Pokładły się na otomanach i odzywały się pogardliwie o innych autorach Psychologja Ewy zdobyła sobie kult. Dzieje nieszczęsne, ciemne instynkty poddaństwa i okrucieństwa i niezwalczoną miłość do Łukasza salonowej porównano widocznie z własnemi możliwościami psychicznemi. Uznano prawdę w estetycznym obrazie i ukorzono się przed przenikliwością autora ze czcią zabobonną.

Na końcu maleńka zagadka: dlaczego niektóre kobiety widzą w Ewie objaśnienie swych najgłębszych przeżyć? Ta jaskrawa przesada płynie zapewne stąd, że Ewa odważa się czynić to, co dla wielu jest tylko ciemną pokusą, zdławioną przez rozsądek i humanitarność Ale pokusa, choćby najciemniejsza ma swoją tęsknotę i wzdycha boleśnie kiedy się ją krępuje. Otóż czytając „Dzieje Grzechu" kobiety odetchnęły na chwilę zbrodniczem wyzwoleniem i rozkosz tego wyzwolenia przyprawiła je o zawrót głowy i o wdzięczność zbyt może przesadną.

L. Choromański.

Z RUCHU ZAWODOWEGO.

Zjazd kobiecy a związki zawodowe.

Na ostatniem posiedzeniu biura centralnego związków zawodowych w Petersburgu postanowiono wziąć udział w odbyć się mającym niezadługo zjeździe kobiecym. Wobec tego biuro zaproponowało tym związkom zawodowym, które mają w swem gronie kobiety, by rozpoczęły pracę przygotowawczą (związek robotników włóknistych urządził już kilka specjalnych zgromadzeń robotnic).

Postanowiono wysunąć projekt ubezpieczania macierzyństwa, zupełnie pomijanego w projekcie ubezpieczania robotników. Tymczasem pomoc dla robotnicy w okresie brzemienności, a szczególniej podczas i po porodzie jest sprawą niecierpiącą zwłoki z uwagi na wielką śmiertelność wśród dzieci robotników. (Sprawa ubezpieczania macierzyństwa dotychczas została załatwiona na drodze prawodawczej tylko we Włoszech).

Drukarze w Lublinie.

25 z. m. w Lublinie odbyło się zgromadzenie ogólne „polskiego związku zawodowego drukarzy" w Lublinie.

Związek drukarzy jest jedynym „polskim" związkiem zawodowym, w którym panują normalne stosunki w tem znaczeniu, iż związku nie prowadzą na pasku panowie z „Życia Robotniczego".

To też na zebraniach drukarzy nie omawia się potrzeb „Życia Robotniczego" i nie uchwala sie prenumerować tego nie czyniącego zadość wymaganiom robotników organu,—myśli się natomiast o sprawach związku, o regulowaniu zatargów, o pomocy dla bezrobotnych. Na wzmiankowanem już zebraniu drukarzy lubelskich skarbnik p. Nowakowski postawił wniosek opodatkowania się na rzecz kolegów, pozostających bez zajęcia. Opodatkowanie takie wprowadzono już w Warszawie i w innych miastach w stosunku grosza od rubla, niemniej jednakże jak 20 gr. na miesiąc. Wniosek p. Nowakowskiego, po małej dyskusji, jednogłośnie przyjęto. Opodatkowanie to wejdzie w życie z dniem 1-go grudnia.

Dobrzeby było, aby zasada przyjęta w „polskim związku drukarzy" przyjęła się i w innych związkach zawodowych.

Związek robotników drzewnych.

W niedzielę i poniedziałek odbył się zjazd delegatów „związku zawodowego robotników przemysłu drzewnego w Królestwie Polskiem". Zjazd ujawnił nadzwyczaj smutny stan związku pod względem materjalnym. Ilość członków w ciągu ostatniego roku zmniejszyła się olbrzymio (z 3000 do 758); spowodowały to olbrzymie aresztowania dokonywane w Warszawie i innych miejscowościach (w Kamińsku naprz. z 237 członków związku drzewnego aresztowano 227). Odegrała też swoją rolę ogólna apatja ogarniająca społeczeństwo od 2 lat, członkowie masowo nie płacą składek (w Łodzi naprz. z 383 zapisanych płaci składki zaledwie 100). Ten brak członków zmusza do ograniczania budżetu; wiele oddziałów związku nie może się zdobyć na własne lokale, dzięki czemu sprawy związkowe nie są należycie załatwiane i utrudnione jest komunikowanie się członków pomiędzy sobą (w lokalach niezwiązkowych zbierać się nie wolno) Rok przyszły nie wróży pod tym względem poprawy: aresztowania trwają, apatja nie znika. Mimo to delegaci związku drzewnego pełni są dobrych nadziei na przyszłość.

Ożywione rozprawy wywołała sprawa regulaminu, w którym dokonano 2 poprawek o charakterze demokratycznym. W pierwszym wypadku chodziło o taktykę strajkową: regulamin opiewa mianowicie, że w razie wybuchnięcia strajku oddziały powinny ściśle trzymać się instrukcji zarządu głównego. Otóż, wychodząc z założenia, że oddziały będąc na miejscu lepiej znać mogą ducha strajkujących i warunki, niż rezydujący w Warszawie zarząd główny, zgromadzenie uchwaliło zmienić ten punkt regulaminu w duchu przyznania większej samodzielności oddziałom i nie uzależniania ich decyzji od woli zarządu głównego. W sprawie sądu koleżeńskiego uchwalono, że w razie jeśli skazany sądem tym członek nie uzna wyro-

ku, może odwołać się do zgromadzenia ogólnego delegatów, które jest najwyższą instancją związkową. Pozatem uchwalono zmienić praktykowany dotychczas podział funduszów związkowych: dotychczas na kapitał zapomogowy wydawano 75% ogólnych wpływów, zaś na fundusz organizacyjno-oświatowy 25%. Uchwalono zmienić te cyfry na 65% i 35%, w tym duchu wystarać się o zmianę ustawy (fundusz zapomogowy przeznaczony jest na wydawanie zapomóg bezrobotnym po 2.50 kop. tygodniowo. Z funduszu organizacyjno-oświatowego pokrywane są koszty utrzymania biur związkowych, a w roku przyszłym ma być wydawane własne pismo).

Budżet na rok przyszły uchwalono w ogólnej sumie 3,600 rubli; z tej sumy na fundusz zapomogowy przeznaczono 2,400 rubli, na organizacyjno oświatowy — 1,200).

Rozpatrywano również projekt kasy chorych, która ma być założona przy związku; projekt ten (przewidujący 50 i 25 kop. dziennej zapomogi dla chorego, a 20 i 10 rubli na pogrzeb za tygodniową składkę w kwocie 5 i 10 kop.) złożono już do zalegalizowania.

Z TEATRU.

„U królewskich wrót" — sztuka w 4 aktach Knuta Hamsuna, przekład Z. Wójcickiej. Reżyserował K. Kamiński.

Wystawienie sztuki poprzedziły wzmianki w pismach o „potężnym dramacie" norweskiego pisarza. W istocie „U królewskich wrót" jest sztuką słabą i rozwlekłą. Po nudnym i długim pierwszym akcie tempo się ożywia i zabarwia, lecz rzeczywistego dramatu trudno się dopatrzeć. Każdy wstępujący w życie myśliciel lub artysta niewątpliwie wstępuje w bój i walczyć musi na dwa fronty — ze światem i z sobą. Takie starcie może być dramatem, ale Iwar Kareno jest postacią zbyt konwencjonalną, wprost tendencyjną i bladą, by można zaufać jego posłannictwu. W wynurzeniach Karena niema nic oryginalnego. Jest on utworzony niejako podług recepty, w całej rozciągłości sztuki niemal martwy i chybiony.

Profesor Gylling, który powinien być wcieleniem świata wrogiego oryginalnemu umysłowi, jest konwencjonalną kopją ogólnego typu zaśniedziałego profesorstwa. Na tem tle konflikt między temi dwiema osobami nie przekracza granic osobistego starcia dwuch przeciętnych jednostek. Dziwić się należy, że Kareno tak sobie dużo robi z intryg Gyllinga, że poniża się do rozpaczy wobec małej zmurszałej przeszkody w osobie profesora. Przecież między człowiekiem twórczym w nauce lub sztuce a rutynowaną wielkością istnieje taka dysproporcja rzeczywistego znaczenia i bohaterstwa, że oprócz drobnych dolegliwości i zatamowania źródeł dobrobytu nic innego rutyna twórczej jednostce wyrządzić nie może.

Słowem — symbole dwu potykających się z sobą żywiołów — dążącego naprzód i wgłąb oraz skrzepłego — wybrane i postawione słabo. Zamiast uniesienia Iwar Kareno budzi litościwe współczucie. Zamiast bojownika stworzył Hamsun jeszcze jednego idealizującego niedołęgę.

Żona Karena — niższa duchowo istotka — ucieka od niego z eleganckim dziennikarzem. Autor w ciągu sztuki niejednokrotnie wskazuje, jak ta mała istotka, zaniedbywana nieco przez męża, nudzi się, jak, nie umiejąc inaczej wytłomaczyć sobie mężowskiego roztargnienia, posądza go o miłość do służącej Ingeborgi. Ten kilka razy powtarzany szczegół budzi w umyśle widza nadzieję, że może naprawdę między panem a służącą istnieje związek choćby platoniczny — jedna z owych subtelnych i pięknych tęsknot miłosnych, jakie umie oddawać Hamsun. Lecz sztuka się kończy, a Kareno pozostaje nieposzlakowanie obojętny, co widz odczuwa jako zawód osobisty.

Drugi niedołęga Carsten nie jest bardziej od Karena zajmujący. Narzeczona Carstena, przekonawszy się o jego odstępstwie, zrywa z nim, ale zostawia mu otwartą furtkę nadziei. Jeżeli Kareno przyjmie pożyczkę od Carstena, to ona się z nim pojedna, bo będzie to dla niej dowodem, że wina Carstena jest do wybaczenia. Ten złośliwy szczegół wydaje mi się jedynym w sztuce epizodem serjo. Jest to zarzut uczyniony *kobiecie*, że nawet w nadzwyczajnie poważnej chwili nie *może* rozstrzygnąć problematu własną wolą i umysłem, lecz oddaje się na łaskę i niełaskę mężczyzny.

Grono miłośników, występujących pod egidą II oddziału Kultury Polskiej, odegrało (dn. 8 b. m.) w teatrze T. Kwaśniewskiego „Nadzieję"—4-aktowy dramat H. Heijermannsa z życia rybaków. Dramat ten, wystawiony przed kilku laty przez Teatr Mały, należy do najlepszych sztuk tego autora. Reżyserem bardzo umiejętnym i gorliwym był tu p. A. Bednarczyk, artysta teatrów rządowych. W gronie amatorskiem znalazło się sporo dobrych sił, tak że sztuka szła nadspodziewanie składnie. Ten pomyślny początek zachęcić powinien Koło miłośników i miłośniczek sceny do dalszych w tym kierunku występów.

L. Choromański.

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

H. Zbierzchowski, „Grający las", Nowele. Lwów, 1908.

Przyznaję, że po przeczytaniu „Malarzy" p. Zbierzchowskiego czułem do niego żal serdeczny. Niezwykła bezkrwistość jego postaci, mówiących nieszczerze a dużo i spłowiałość barw, któremi maluje dzisiejsze stosunki, wytwarza przeświadczenie, że gdyby przetransponować jego wytwórczość literacką na stosunki handlowe np. to każdy określiłby jego utwory, jako towary „zleżałe". Przeczytawszy „Grający las" umocniłem się w przekonaniu, że z prawdziwymi ludźmi p. Zbierzchowski nie daje sobie rady. Ilekroć wejdą na widownię, autor traci głowę i pozwala im robić i mówić — co ślina na język przyniesie! Dziwaczny jest ten literat płaczący jak głupie, niesforne dziecko (Tchórz). Sztuczne, nieszczere samobójstwo Gustawa (Bora) i wszystko, co musi stąd wynikać, jako bezpośrednie następstwo psychologicznych procesów myśli. Jeżeli zatem te nowele wyżej stoją od „Malarzy", to jedynie z tego powodu, że mniej w nich ludzi, że autor punkt ciężkości zwrócił na stronę opisową, wolał malować fantazje marzeń rozigranych, niż rzeczywistość, gdzie barwę i wyraz jesteśmy zdolni skontrolować. I dlatego taka noweletka jak „Przygoda małego Zbysia, wędrownika" — dużo gorzej się przedstawia niż te, w których autor puściwszy swobodnie Pegaza, buja po lasach grających, lub parku „Villi d'Este", gdzie Amorek przez kielich ilji wodnej zwołuje posągi na nocną gawędę! Nie znaczy to bynajmniej, aby świat realnej prawdy godniejszy był talentu artysty, od świata fantazji. Przeciwnie! — co znaczy szarzyzna życia przy tych bogactwach, jakie wyobraźnia poety może stworzyć. Ale pamiętać należy, że do opisywania tych przeciętnych dramatów i tragikomedji życiowych, nie wystarcza polot poetyckiego natchnienia; trzeba i żądło satyry w grę wprowadzić i szydzić i gromić, a przedewszystkiem czuć to życie, którego tajemnice godne talentu, głęboko się chowają po za kotarą banalnych sytuacji i pospolitych nastrojów. Tego właśnie p. Zbierzchowski nie posiada. Jest przedewszystkiem poetą. Hu-

mor jego nie bawi (Bacylus poeticus) a rzeczywistość nie zajmuje. Wogóle zdaje się, że pisywanie powieści przez tego zdolnego poetę — jest jednym z wielu fałszywych apetytów, dolegliwości popularnej u artystów. Kto wie jednak, czy w grę tu nie wchodzą powody innej natury, chociażby fatalna obojętność czytelników do wszystkiego, co się rymami kończy i nazywa poezją. Nie trzeba zapominać, że nieubłaganą tej obojętności konsekwencją — jest konflikt między duchem a ciałem, które z niesłychaną pedanterją wymaga — jedzenia!

St. Kiedrzyński.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

Bobkowski i Zaguski. Podręcznik narciarsawa —65
France Anatol. Wybór pism, tom V 1.40
Gruber M. Dr. Prof. Hygiena życia płciowego —50
Hume F. Zielona Mumia —80
Klaczko Juljan. Wieczory florendzkie. Tłumaczył St. Tarnowski 1.60
Konar Alfred. W syrenim grodzie. Powieść 1.50
Konczyński Tadeusz. Głód szczęścia. Powieść 1.50
Lecky W. E. H. Dzieje wolnej myśli w Europoie tom II 2.40
Oncken Herman. Lassale 2—
Słowacki Juljan. Balladyna tragedja w 3 aktach —50
Winiarski M. M. Kaprys księżnej 1.30
Witkiewicz Stanisław. Matejko, z 273 ilustracjami 5.40
Wójcicki Mieczysław. Religja przyszłości. Niemoralna książka dla dorastającej młodzieży 1.—
Wróblewski Karol. Legenda Stanisława Wyspiańskiego —50
Wyspiański Stanisław. Wesele dramat w 3 aktach 1.60
opr. 2.40
Zieliński Gustaw. Poezje I/II tomy 2.40

Adam Poul. L'yeône et le Croissant 1.40
Ader C. La premiere ètap de l'Aviation Militaire en France —90
Aurel. Pour en finir avec l'amant 1.40
Bourgogne Jean de. Chanoinesse Rouge 1.40
Brada. L'amie Libre 1.40
La Bosce par Jagnes Martane et Andrè Linwille 1.40
Beranger a Dupont de l'Eure. Letres inèdites (1820-1854) 3.38
Brunher Bernard. La Dègradation de l'Energie 1.40
Charles d'Orleans. Poeme — Ballades — Caroles — Chansons — Complaintes — Rondeanx. Choise, Notree biographique et bibliographiqoe par Alphonse Sèchè —50
D'Abbes Paul le Conte. Fimandra Courtisane d'Athènes. Roman 1.40
Delarue-Mardrus Lucie. Marie, Fille-Mére. Roman 1.40
Delavigne Casimir. Messénieunes — Poèmes et Ballades sur L'italie — La Ballerine Memmo — Le Piêtre—Louis XI (Tragédie) — ete... 1.50
Dumas Robert. A la Dérive. Etude Sociale —50
Gonard Rene. La Hongrie au XX-e Siécle. Etude Economique et sociale 1.80
Frandet Rene. Les Fatidigues 1.40
Loliee Frederic. Maison de Molière et des Grands Classiques —68
Malo Henri. Les Corsaires. Mémoires et Documents inedits 1.40
Martin Rodolphe. La Guurre Aescienne Berlin — Bagdad 1.40
Masson Frederic. Autour de Sainte — Héléne 1.40
Waurecy Lonis. Supplices d'Amour. Roman —50
Pichon Stephen. Dans la Bataille 1.40
Reval G. Les Camp-Volante de la Riviera. Roman 1.40
Savigne Albert. La Vraie Reine Margot —68
Uhland Lonis. Traduction inedite de Raymond Darsiles —45
Algremont Dr. Volkserotik und Pflanzenwelt. Erster Band 2.50
Barth Poul Dr. Die Elemente der Erziehungs — und Unterrichtslehre 3.30
Berninger Johannes. Elternhaus, Schule, Lehr—und Werkstätte —90
Blavatsky H. P. Theosophisches Glossarium —40
Biegański W. Dr. Medizinische Logik 2.25
Birnbaum Karl Dr. Psychosen mit Wahnbildung und wahnhafte Einbildungen bei Degenerativen 3.—
Buhler Georg. Leitfaden für den Elementarcursus des Sanskrit 2.50
van Calcar R. P. Diolyse, Eeiweissehemie und Immunitat 1.50
van Calcar R. P. Immunitätrseaktion und einige ihrer praktischen Verwendungen für Klinik und Laboratorium 2.55
Calmes A. Die Fabrik — Buchhaltung 2.30
Clement Carl Dr. Religionsgesehichtliche Erklärung des Neuen Testaments 5.—
Duval Mathias. Grundriss der Anatomie für Künstler 3.50
Gmelin Johann Georg Dr. Zur Psychologie der Aussage. Ein Vortrag —.90
Martman Siegfried. Naturwissenschaftlich—Technische Plaudereien 1.40
Handwörterbuch des Staatwissenschaften. herausgegeben von Dr. J. Conrad dr. L. Elster, dr. W. Lexis, dr. Edg. Loening, 3 Aufl. 10.—
Hoennickle Gustaw. Das Judenchristentum 5.—
Offner Max. Dr. Das Gedächtnis. Die Ergebnisse der experimentellen Psychologie und ihre Anwendung in Unterricht und Erziehung 1.50
Reiehenbach Carl Treiherr von. Ver ist sensitiv, wer nicht? —50
Steinhans Julius Dr. Grundzüge der Allgemeinen Pathologischen Histologie 5—
Sanolers William. Englische lokale Selbstrerwaltung und ihre Erfolge 38—
Steyertshal Armin Dr. Was ist Hysterie? Eine nosologische Beatrachtung —90
Wetterer J. Dr. Handbuch der Böntgent herapie 13.80
Wittel Fritz Dr. Die Sexuelle Not 2.—
Westphal Gustaw Dr. Jahwes Wohnstätten nach den Anhanungen der alten Hebräer 5.50

Wszystkie powyżej wymienione książki są do nabycia w księgarni G CENTNERSZWERA i S-ki, Marszałkowska 143.

UPTON SINCLAIR.

METROPOLIS.

(Ciąg dalszy).

Potem usłyszał Montague o pewnej znanej damie z najlepszego towarzystwa, która zrujnowała się zupełnie hazardowną grą w bridge'a. Grano nawet w sanatorjach, gdzie niby szukano ratunku dla rozstrojonych nerwów. Było to zajęcie, które działało na naturę kobiecą, tak wyczerpująco, że lekarze znali już symptomy tej choroby i przed postawieniem djagnozy zapytywali: „Czy grywa pani w bridge'a. Było ogólnie przyjętym zwyczajem, że dla rozproszenia nudy niedzielnej zbierano się na grę w bridge'a.

Była to gra bardzo droga. Bardzo łatwo można było w ciągu jednego wieczoru przegrać kilka tysięcy dolarów. Kto nie grał, tego poprostu wykreślano z listy gości, a kto zasiadał do gry, musiał grać dotąd, dopóki nie przestaną inni. Mówiono nieraz o młodych dziewczynach, ktore zastawiały srebra rodzinne albo sprzedawały swą niewinność, aby zapłacić dług karciany. Pewien młodzieniec ukradł pani domu biżuterję i zastawił, a oddając jej kwit lombardowy oświadczył, że obrabowali go jej goście. W najlepszych towarzystwach przyjmowano awanturnice, utrzymujące się z gry. Panie domów zapraszały do siebie bogaczów, aby ich obrabować. Jakież było zdziwienie Montague'a, kiedy mrs. Winnie i jej brat zwrócili mu uwagę, aby unikał gry z pewną niezmiernie arystokratyczną damą, bo ta, jak stwierdzono, notorycznie oszukuje w grze!

— Ach mój stary, — śmiał się z niego Oliwier — jakiś ty naiwny. Mówi się przecie: „oszukańczy, jak kobieta przy grze w karty". I zaczął opowiadać o pierwszych swych doświadczeniach na tem polu. Grywał z wielu zachwycającemi młodziutkiemi pannami. Mówiły, co mają i brały pieniądze nie pokazując kart. On był za bardzo elegancki i nie żądał tego. Później przekonał się, że oszukiwały haniebnie. Odtąd nigdy nie grywa z damami w pokera. Oliwier pokazał bratu jedną z tych młodych dziewcząt. Była posągowo piękna i zimna jak marmur. Siedziała z napół wypalonym papierosem w ustach przy stole, na którym stała whisky, soda i lód tłuczony. Później Oliwier nachylił się do brata i zwrócił jego uwagę jeszcze na inny symptom tego szaleństwa — na ogłoszenie z napisem: „szczęście już nie dopisuje". Było to zawiadomienie, że u Rosensteina tuż koło Piątego Avenue można otrzymywać pieniądze na drogie stroje i futra.

Pewnego dnia Allan uczuł, że dość ma zabawy, gwaru i nadzwyczajnej uprzejmości mrs. Winnie. Chciał

się wyrwać z zaklętego koła rozrywek, odświeżyć. W tym celu po śniadaniu wybrał się na kilka godzin w góry. Było pochmurnie. Na wyniosłości smagał wiatr, choć w dolinach była cisza. Spieniona rzeka mknęła w dal.

Nagle w miejscu gęsto zarosłem drzewami uwagę Allana wzbudził dziwny huk — stłumiony łoskot, jakgdyby ziemia się zachwiała. Było to coś w rodzaju dalekiej eksplozji. Montague przystanął na chwilę, poczem ruszył dalej, rozglądając się uważnie. Kiedy skręcił poza róg skały, ujrzał wielkie drzewo, które upadło wpoprzek drogi,

Sądził, że właśnie upadek tego drzewa narobił tyle łoskotu. Ale gdy podszedł bliżej, przekonał się, że był w błędzie. Poza drzewem leżało coś innego. Allan zaczął biedz — były to dwa koła samochodu, sterczące wysoko w górze.

Przesadził pień drzewny i jednym rzutem oka ogarnął całą historję. Na ostrej krzywiźnie drogi wielki samochód natknął się na niespodziewaną przeszkodę i wywrócił.

Dreszcz lodowaty przebiegł plecy Allana, kiedy ujrzał, że pod pudłem wywróconego samochodu leży człowiek. Rzucił się ku niemu, ten po chwili zatrzymał: ujrzał, że z ust człowieka płynie struga krwi, którą zabarwił się śnieg naokoło. Widocznie pierś była zupełnie zdruzgotana. Wysadzone z orbit oczy były straszne.

— Przez chwilę Allan stał jak skamieniały, wlepiając osłupiałe sporzenie w trupa Nagle z drugiej strony, za samochodem, usłyszał cichy jęk. Pospieszył na pomoc. Drugi mężczyzna leżał w rowie, patrzał się słabo. Mantague nachilił się nad nim.

Nieznajomy ubrany był w ciężkie futro niedźwiedzie. Allan rozchylił futro i ujrzał że był to człowiek już niemłody. Skroń miał zranioną, a twarz bladą jak wapno. Kiedy młody adwokat dźwignął rannego i oparł go plecami o spadek rowu, ten otworzył oczy i jęknął.

Montague ukląkł przy nim i słuchał, jak oddycha. Czuł się całkiem bezradny. Nie umiał uczynić nic ponadto, że rozpiął futro i ocierał krew, która wciąż płynęła.

— Whisky — jęknął nieznajomy.

Montague odparł, że niema whisky przy sobie, na co nieznajomy odparł, że jest ona w samochodzie.

Kiedy wódka się znalazła, twarz nieznajomego ożywiła się nieco. Wtedy dopiero Montague spostrzegł, że widział już gdzieś tę twarz, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

— Ile osób jechało z panem? — zapytał.

— Jedna.

Zabity, jak się okazało, był palaczem. Allan nieco dalej na drodze znalazł trochę suchych gałęzi, zrobił wiechę, i postawił ją tak, żeby była widoczna z każdego samochodu, co przejeżdżał tamtędy, spostrzeżonoby ją niechybnie. Potem przewiązał skroń nieznajomego własną chustką, aby zatamować krew.

Stary jegomość zaciął usta. Widać było, że cierpi ciężko.

— Nic już ze mnie nie będzie — jęczał raz w raz.

— Gdzieś pan raniony? — spytał Montague.

— Nie wiem — wystękał. Ale ze mną już koniec. Wiem o tem... Nie wiele mi już pozostaje...

Zamknął oczy i pochylił głowę...

Czy nie mógłbyś pan sprowadzić doktora? — zapytał.

— Tu niema domów w pobliżu — rzekł Montague. — Ale mogę pobiedz...

— Nie, nie, — rzekł ranny. — Głos mu drżał z trwogi. — Niech mnie pan nie zostawia samego. Może kto nadejdzie. — Oh, ten głupi palacz — czemu nie jechał powoli, jak mu mówiłem, idjota... Wszyscy oni tak robią — zawsze chcą się popisywać, co każdy z nich umie!

— Ten człowiek jest zabity — rzekł Allan cierpko.

Nieznajomy powstał nieco i wsparł się na łokciu.

— Zabity? — spytał chrapliwie.

— Tak. Leży pod samochodem.

Oczy starego pana stanęły kołem ze zgrozy. Gorączkowym ruchem schwycił Allana za ramię.

(D. c. n.)

Redaktor i wydawca *Władysław Gacki*. Druk E. Skowrońskiego Nowy-Świat 43.